

LESLIE WOLFE

**TAJEMNICA
LEKARKI**

Przełożyła Ewa Ratajczyk

Powieść *Tajemnica lekarki* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *The Surgeon*

Copyright © Leslie Wolfe, 2023

Published in Great Britain in 2023 by Storyfire Ltd trading as Bookouture

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: © The Brewster Project

Zdjęcia na okładce: © Depositphotos

Opracowanie graficzne okładki: Tetiana Leonova/Studio Inigo

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3742-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Creamy 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

JEDEN

PACJENT

Co ja zrobiłam?

To pytanie krąży mi po głowie, przeszywa i osłabia ciało. Przypływ adrenaliny daje mięśniom impuls do biegu, ale nie mam dokąd uciec. Roztrzęsiona i słaba osuwam się na podłogę, moją jedyną podporą jest zimna, wyłożona płytkami ściana za plecami. Przez chwilę wpatruję się w swoje dłonie i ledwie je rozpoznaję, jakbym nigdy wcześniej nie widziała ich w chirurgicznych rękawiczkach poplamionych krwią. Wydają mi się obce: cudze dłonie przyczerpione do mojego ciała w wyniku jakiejś niezrozumiałej pomyłki.

Ciche, miarowe pikanie rozlega się bez ustanku w nieprzerwanym szmerze klimatyzacji. Żałuję, że nie mogę zebrać sił, by kazać im ją wyłączyć. Sala operacyjna zamarła, wszystkie oczy skierowane są na mnie, szeroko otwarte i pełne napięcia ponad maskami na twarzach.

Tylko jedne patrzą gniewnie i świdrują mnie przy każdej sposobności – stalowoniebieskie, śmiertelnie zimne tęczęwki, ukryte za grubymi soczewkami i przyłbicą. Doktor Robert Bolger, nadal siedzący przy aparaturze anestezjologicznej, nie musi nic mówić.

Powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba było powiedzieć. A nawet więcej.

– Wyłącz to – szepcze Madison. – Lee Chen wciska przycisk i upiorny dźwięk milknie. Podchodzi do mnie i kuca obok. Wyciąga dłoń w stronę mojego ramienia, ale powstrzymuje się i go nie dotyka. – Anne? – szepcze z wiszącą w powietrzu dłonią. – Anne? Chodźmy.

Powoli kręcę głową, wpatrując się w podłogę. Pamiętam najdrobniejsze szczegóły specyfikacji warstwy polimerowej pokrywającej podłogi wszystkich sal operacyjnych. Bezużyteczna informacja zajmuje miejsce w mojej głowie z niewiadomych powodów, bo przecież jestem chirurgiem, użytkownikiem tych posadzek z błękitnej mozaiki, a nie kimś, kto decyduje, jaką warstwę należy położyć.

– Anne? – Madison kojącym, ciepłym głosem powtarza moje imię.

– Nie – odpowiadam szeptem. – Nie mogę.

Zakrwawiony tampon spadł ze stołu i poplamiał nieskazitelną podłogę kilkanaście centymetrów od czubka mojej prawej stopy. Podwijam nogę pod siebie i wpatruję się w gazę, jakby plama krwi na niej mogła mnie dopaść.

Madison cofa się pod gniewnym spojrzeniem doktora Bolgera.

On wzdycha i wyłącza swój sprzęt, co potęguje ciszę w pełnej napięcia sali.

– Chyba skończyliśmy. – Wstaje z jękiem frustracji i rzuca echokardiologowi, doktorowi Deanowi, wymowne spojrzenie. – Chodźmy na kawę, żeby wypłukać z siebie wspomnienie tej katastrofy.

Doktor Dean zerka na mnie przelotnie, jakby pytał spojrzeniem o zgodę. Pewnie czuje się winny, że Bolger go wybrał. To wszystko dzieje się niemal poza mną.

Nie reaguję. Nie jestem w stanie.

Mój umysł jest gdzie indziej, przeżywa kolejne chwile tego, co wydarzyło się od rana.

Dzień zaczął się dobrze i nic nie zapowiadało tego, co nastąpi. Kapryśny, wietrzny wiosenny poranek sprawił, że moja codzienna przebieżka była raczej ćwiczeniem woli, a nie fizycznej wytrzymałości. Chicago potrafi okazywać mieszkańcom swoją szorstką miłość podmuchami wiatru, które przenikają do szpiku kości bez uciekania się do chirurgii – wystarczy pogoda i jej ludzka percepcja.

Jak przez kilka ostatnich tygodni przebiegłam standardową pętlę w parku Lincolna, zerkając na wiązy i rokitniki z nadzieją, że znajdę pączek, choćby maleńki. Byłam gotowa na wiosnę, kwitnące ogrody i cieplejsze słońce. O niczym innym nie myślałam; o wpół do siódmej rano zdawało się, że to zwyczajny czwartek. Jakże złudnie.

Około wpół do ósmej wjechałam na poziom dla pracowników na szpitalnym parkingu i zajęłam swoje numerowane miejsce. Późnym wieczorem w zaciszu domowego gabinetu zgodnie ze swoim zwyczajem przejrzałam szczegóły zabiegu zaplanowanego na ten dzień.

W planie była operacja tętniaka aorty wstępującej. Pacjent, pięćdziesięciodziewięcioletni mężczyzna, nazywał się Caleb Donaghy. Mielіśmy zacząć punkt dziesiąta.

Z Calebem Donaghyem spotkałam się wcześniej dwa razy. Pierwszy raz podczas wizyty. Jego kardiolog wykrył u niego

dużego tętniaka i skierował go do nas na zabieg. Doskonale pamiętam tę konsultację. Pacjent, co rozumiałe, był przerażony diagnozą, a każde moje słowo jeszcze bardziej to przerażenie potęgowało. Trzymał ręce skrzyżowane na piersi, jakby osłaniał serce przed moim skalpelem. Jego zaniedbana broda miała żółtawoszare pasemka, taka sama siwizna zdobiła skronie, przynajmniej tak zauważyłam pod jego bejsbolówką, której nie chciał zdjąć. Pozwoliłam mu zatrzymać ją na głowie.

Przez chwilę był posępny i zadziorny, podważał wszystko, co mówiłam. Co takiego zrobił, że pokarało go tętniakiem? Niedawno z przyczyn niezwiązanych z sercem zmarli mu rodzice. Dopiero po dobrych piętnastu minutach uspokajania go mogłam przeprowadzić badanie.

Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie.

Później zobaczyłam go znowu wczoraj wieczorem, po zebraniu zespołu operującego. Caleba Donaghy'ego przyjęto dwa dni wcześniej i ponownie wykonano badania krwi. Gdy weszłam, siedział w łóżku beczynnie, w poplamionej bejsbolówce Cubs na głowie, z założonymi na piersiach rękami, oparty na poduszce. Telewizor nie był włączony, na łóżku nie było gazet, telefon leżał na szafce nocnej wyświetlaczem do dołu. W pokoju unosił się lekki fetor stęchłego tytoniu i pijackiego potu. Mężczyzna był zamyślony, przygnębiony i samotny. I wściekły. Chwilę wcześniej dowiedział się, że przed operacją ogolą mu brodę i klatkę piersiową. I jakby tego było mało, ktoś z administracji szpitala wpadł, żeby go zapytać, czy jest zarejestrowanym dawcą organów. Przez siedem długich minut na różne sposoby oznajmiał mi, że nie zamierza pozwolić, by go sprzedano na części. Wie, co my, lekarze, robimy z ludźmi

takimi jak on, bez rodziny, która mogłaby nas pozwać, i bez pieniędzy. Pobieramy organy i przeszczepiamy je tym, którzy najwięcej zapłacą. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że poszczególne budynki naszego szpitala noszą nazwiska najbogatszych mieszkańców Chicago?

Zapewniłam go, że tak nie jest. Nie chciał słuchać. Później mu powiedziałam, że wystarczy, żeby nie wyraził zgody, a transplantacja organów nie będzie wchodziła w rachubę w przypadku niepomyślnego wyniku operacji. Co jest eufemistycznym określeniem zgonu na stole operacyjnym. Natychmiast się uspokoił.

Ale to było wczoraj.

Dziś rano Madison czekała na mnie z kawą, kiedy weszłam do gabinetu. Jest najlepszą pielęgniarką chirurgiczną, z jaką pracowałam, i moją osobistą asygentką, kiedy nie jest w kombinezonie.

Madison, Lee Chen – uzdolniony drugi pielęgniarski chirurgiczny w moim zespole, Tim Crosley – perfuzjonista sercowo-naczyniowy, który obsługuje płucoserce nazywane przez nas pompą, i doktor Francis Dean – echokardiolog, tworzą mój stały zespół chirurgiczny. Anestezjolog to loteria, w której mi się nie poszczęściło, i trafiłam, niestety, na doktora Bolgera. Ma w sobie coś odpychającego. Może z powodu nieskrywanej mizoginii. Podobno administracja szpitala dwukrotnie udzieliła mu pisemnej nagany z powodu seksistowskich uwag, jakie wygłaszał, mówiąc, że kobiety w szpitalu nadają się najwyżej do zawodu pielęgniarki. Bije od niego pogarda dla kobiet, choć od niedawna jest ostrożniejszy w jej demonstrowaniu. Jest aroganckim sukinsynem, a przy tym świetnym anestezjologiem. Osiągnięcia zawodowe karmią jego pychę i niszczą stanowczość

szpitalnej administracji wobec problemów z jego zachowaniem. Taki jest doktor Bolger.

Kiedy razem przeprowadzamy operację, zawsze staram się z nim współpracować najlepiej jak to możliwe dla dobra pacjenta i zespołu operującego.

Nigdy nic z tego nie wychodzi. Do tanga trzeba dwojga.

Pamiętam, że zakłęłam pod nosem, kiedy zobaczyłam w grafiku jego nazwisko, po czym wyparłam tę kwestię z umysłu.

Doktor Bolger był już na sali operacyjnej, gdy weszłam.

– Dzień dobry – powiedziałam, nie licząc na odpowiedź. Nie padła, doczekałam się jedynie lekkiego kiwnięcia głową i zerknięcia z ukosa spoza chirurgicznej zasłony oddzielającej jego świat od mojego, po czym znów skupił się na wózku ze sprzętem po swojej prawej stronie. Za tą przesłoną kontroluje drogi oddechowe pacjenta. Podczas operacji rzadko, o ile w ogóle, widzę twarz pacjenta.

Skupiam się na sercu.

Mam czterdzieści jeden lat i zajmuję się tym od lat dwunastu, odkąd skończyłam specjalizację z chirurgii ogólnej. Zaraz potem przeniosłam się na kardiochirurgię i nigdy nie oglądałam się za siebie. Właśnie tym od zawsze chciałam się zajmować. I nigdy nie straciłam pacjenta na stole.

Do dziś.

Na myśl o tym czuję się tak, jakbym dostała cios w brzuch.

Ściągnięta z powrotem do ponurej rzeczywistości, przez chwilę rozglądam się wokół i usiłuję zarejestrować to, co widzę. Oświetlenie zabiegowe zostało wyłączone. Madison nadal tu jest, spogląda na mnie z troską. Lee Chen siedzi na swoim stołku, gotowy zerwać się na równe nogi, gdy zajdzie potrzeba. Tim

Crosley czuwa przy pompie, zgarbiony, ze spuszczoną głową. Gdyby mógł, pewnie oparłby czoło na dłoniach, ale jeszcze pracuje, zachowuje sterylność. Dopóki pompa furkocze, pełni dyżur.

Wracam myślami do zabiegu. Na sali operacyjnej było gwaro jak zwykle. Virginia Gonzales, wspomagająca instrumentariuszka, która biega w tę i z powrotem, dba o organizację i przynosi wszystko, czego potrzebujemy, opowiada o swoich doświadczeniach z randkowaniem przez internet. Dopiero co przeżyła trudny rozwód. Niedawno doszła do wniosku, że może się jeszcze rozejrzeć i kogoś poznać. Podziwiałam ją za tę siłę ducha i po cichu miałam nadzieję, że nie kieruje nią desperacja z powodu wizji samotnego życia. Jak się okazało, mężczyzna z Tindera, z którym umówiła się na pierwszą randkę, dramatycznie rozminął się z prawdą, gdy się przedstawiał, i cały zespół zaśmiewał się, kiedy Ginny opowiadała o szczegółach. Powiedział, że jest dyrektorem do spraw transportu, a w rzeczywistości był kierowcą ciężarówki. Nic w tym złego, zapewniła szybko Ginny, ale nie słyszał o nici dentystycznej, a w czasie dwudziestopięciominutowego spotkania wymknęło mu się, że podczas tras korzysta z usług prostytutek. Tanich, szybko zapewnił oniemiałą Ginny.

Słuchając jej opowieści, nie mogę powstrzymać myśli o tym, jak wdzięczna jestem za mojego męża i nasze małżeństwo. Spędziłabym życie jako pustelniczka, gdybym miała teraz zacząć umawiać się na randki.

Na sali znów rozległa się salwa śmiechu, kiedy Ginny dodała:

– Po prostu stamtąd wybiegłam.

Doktor Bolger zgromił ją wzrokiem.

– Postarajmy się zachować choć trochę profesjonalizmu, o ile to w ogóle możliwe – wycodził powoli dla mocniejszego efektu. – Jeśli nie proszę o zbyt wiele.

Ugryzłam się w język, żeby nie wdać się w sprzeczkę. Wszyscy pracowali, każdy wykonywał swoje zadania. Zespół operacyjny funkcjonuje najlepiej, kiedy ma możliwość rozładowania napięcia. Jeśli na sali operacyjnej panuje cisza, jeśli nikt niczego nie opowiada, jeśli nie gra muzyka, to znaczy, że dzieje się coś bardzo złego.

Wolałabym, żeby wszyscy śmiali się cały boży dzień. W ten sposób odpycha się śmierć. Przynajmniej u mnie się to sprawdzało. Do tej pory.

– Co włączyć? – spytała Madison, stając przy zestawie stereo.

– Hm, chwileczkę. – Poranna przebieżka przywiodła mi na myśl Beatlesów. – Jest *Here Comes the Sun*?

Madison uśmiechnęła się pod maską; widziałam to w jej oczach. Uwielbiała ich.

– Mam tutaj całą kolekcję ich największych przebojów.

– Niech leci – powiedziałam, przesuując się pomiędzy wyposażeniem i stołem operacyjnym, aż dotarłam na moje miejsce przy piersi pacjenta. Salę zalała muzyka.

Nucąc, wyciągnęłam rękę, a w mojej dłoni znalazł się skalpel. Nie musiałam o niego prosić, Madison wie, jak pracuję. Jestem pewna, że potrafi czytać w moich myślach, choć naukowo nie dowiedziono, że coś takiego jest możliwe.

Od pierwszego nacięcia – pionowej linii na środku mostka – każdy krok był rutyną.

Sternotomia, żeby odsłonić serce.

Otwarcie osierdzia, cienkiej osłony serca, i odsłonięcie tętniaka.

Był duży, jeden z największych, jakie widziałam. Ale to mnie nie zaskoczyło, oglądałam już wyniki wcześniejszych badań obrazowych. Byliśmy na to przygotowani.

– Pompa – powiedziałam, polecając Tomowi, żeby zaczął przepuszczać krew pacjenta przez płucoserce. – Przygotować klamry – oznajmiłam. – Zimny płyn – poprosiłam. Zimny roztwór potasu został podany do komór serca. Hojnie opłukałam roztworem zewnętrzną część serca, wiedząc, że będzie ochraniał tkankę organu podczas naszej pracy. Po kilku sekundach serce się zatrzymało, a jego podobne do śmiertelnego unieruchomienie ogłosił jednostajny dźwięk, na który czekaliśmy. Dźwięk obwieszczający zgon albo zatrzymanie akcji serca.

Przy nieruchomym sercu zaczęłam pracować nad tym, żeby tętniaka aorty zastąpić protezą naczyniową. Zdążył wybrzmieć niemal cały album Beatlesów, zanim ją wszyłam.

Dziwne, ale najlepiej ze wszystkiego pamiętam chłód. Na sali operacyjnej zawsze jest zimno. System klimatyzacji wydmuchuje powietrze o temperaturze szesnastu i pół stopnia. Zimny roztwór, który obniża temperaturę serca i je unieruchamia, ma cztery stopnie, niewiele powyżej temperatury zamarzania. Palce po chwili mi drętwieją, ale poruszam nimi tak szybko, jak mogę. A jednak dziś chłód wydawał się silniejszy niż zwykle i mogę powiedzieć, że to jedyne przeczucie, jakie miałam.

Nie wierzę w przeczucia. Mam swoje powody.

Kiedy skończyłam wszywanie protezy, uważnie przyjrzałam się swojemu dziełu, żeby sprawdzić, czy szwy są wystarczająco mocne. Ostateczny test miał nastąpić, gdy przez protezę zacznie płynąć krew. Wtedy miałam się przekonać, czy dochodzi

do przecieków, i dokonać poprawek. Zwykle nie były potrzebne. Do tej pory byłam zadowolona.

– Ciepła sól fizjologiczna – poprosiłam. Te trzy słowa oznaczały koniec etapu kardioplegii, podczas której serce jest zupełnie nieruchome. Opłukałam organ ciepłym roztworem, rozkoszując się uczuciem ciepła na zmarzniętych palcach, po czym odessałam nadmiar roztworu. – Zwolnić klamry.

Z brzękiem wyłądowny na stercie zużytych narzędzi. Wstrzymałam oddech, wiedząc, że nadeszła chwila prawdy.

Serce pozostało zupełnie nieruchome. Zero migotania, zero słabych uderzeń. Nic. Kompletnie martwe.

Coś takiego nie zdarza się prawie nigdy.

– Resuscytacja – oznajmiłam. Madison wskazała sprzęt stereo i Ginny go wyłączyła, a później nastawiła drugi czasomierz z dużymi czerwonymi cyframi. Salę spowiła cisza, złowieszcza, niechciana cisza, podkreślona jednostajnym buczeniem kardiomonitora. – Epinefryna, *cito*.

– Epi podana – potwierdził Bolger.

Dawka hormonu powinna była coś dać. Nie dała. Szybkimi ruchami masowałam serce, ale czułam, że zupełnie nie reaguje.

– Łyżki – poprosiłam spiętym, niecierpliwym głosem. Madison umieściła je w moich dłoniach. Położyłam je ostrożnie po przeciwległych stronach serca. – Odsunąć się – krzyknęłam i wcisnęłam przycisk. Nastąpiła krótka przerwa w jednostajnym wyciu, a później znów dźwięk niosący złe wieści.

Podjęłam jeszcze kilka prób, a później powróciłam do masowania serca.

– Potrzebuję jeszcze jednej dawki epi. Czas?

– Siedemnaście minut – oznajmiła ponuro Madison.

– Niech to szlag – wymruczałam pod nosem. – Dalej, Caleb, wróć do mnie.

Przez kilka minut kontynuowałam masaż, ale nic się nie wydarzyło. Pompa nadal natleniała krew i dostarczała ją do organów, lecz z sercem był problem. Jego tkanki nie chronił już zimny roztwór potasu. Z każdą upływającą minutą jego stan się pogarszał, szanse na to, że kiedykolwiek jeszcze zabije, szybko gasły.

– Dalej, już! Żyj! – warknęłam. – Wracaj.

Poczułam pragnienie spojrzenia na twarz pacjenta, jakby mogła skrywać jakieś podpowiedzi. Zrobiłam mały krok, wychyliłam się poza chirurgiczną zasłonę – i zamarłam z rozwartymi ustami pod maską i dłonią wiszącą w powietrzu. Chyba westchnęłam, ale raczej nikt tego nie usłyszał wśród szumu klimatyzacji, furkotu pompy i wycia monitora.

Rozpoznałam tego mężczyznę. Krew zastygła mi w żyłach.

Twarz, którą widziałam wczoraj i której wtedy nie skojarzyłam, teraz była ogolona. Na łysym, nieosłoniętym bejsbolówką czole z prawej strony znajdowało się znamię. Czerwona plama o nieregularnych kształtach rozbryźnięta na skórze, jakby ktoś oblał ją winem.

Musiałam użyć całej siły woli, żeby wrócić za przesłonę. Odychając głęboko chłodnym powietrzem, dzięki czemu nie postradałam zmysłów, rzuciłam łyżki na stół i wpatrywałam się w serce, które nie chciało bić.

– Czas? – spytałam znowu, tym razem zdławionym głosem.

– Dwadzieścia jeden minut – odpowiedziała Madison.

Wsunęłam dłonie do klatki piersiowej i zaczęłam masować serce, doskonale wiedząc, że moje uciski nic nie dadzą.

Jeszcze raz ciężko westchnęłam.

– Kończę – powiedziałam.

– Co takiego? – Bolger zerwał się ze stolka. – Oszalałaś? Próbuj dalej.

Spodziewałam się tego.

– Mogłabym, ale on nie wróci, Robert. Próbowaliśmy wszystkiego. Serce nie drgnęło nawet minimalnie.

Stalowe oczy ciskały we mnie gromy.

– Tak szybko się poddajesz? Dlaczego? Śliczne rączki się zmęczyły, skarbie?

Odpuściłam. Kłótnia nad otwartą piersią Caleba Donaghy’ego nikomu nie wyszłaby na dobre.

– Mój zabieg, ja decyduję. – Wytrzymałam przez chwilę jego przeszywające spojrzenie. – Czas zgonu: trzynasta czterdzieści siedem.

W sali zapadła grobowa cisza. W końcu personel zaczął się kręcić, zbierać narzędzia, ściągać rękawiczki, wyłączać aparaturę. Jedyne Tim pozostał na swoim miejscu przy pracującej nadal pompie zabezpieczającej organy i tkanki Caleba.

– Nie do wiary, co tu się dziś wydarzyło – skwitował Bolger. – W głowie się nie mieści. Jesteś żałosna. Trudno powiedzieć, że straciłaś dziewictwo... ty się go lekkomyślnie pozbyłaś.

Seksualna aluzja do faktu, że nigdy wcześniej nie straciłam pacjenta, sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, czy jego pogarda nie wynika przypadkiem z zazdrości. Ta myśl szybko jednak uleciała.

Rzeczywistość zmiażdżyła mnie niczym rozpedzony pociąg.
Co ja zrobiłam? Czyżbym właśnie zabiła człowieka?

SPIS ROZDZIAŁÓW

JEDEN: Pacjent	7
DWA: Obiad	19
TRZY: Introspekcja	32
CZTERY: Droga	38
PIĘĆ: Pokój hotelowy	47
SZEŚĆ: Dom	57
SIEDEM: Wyznanie	66
OSIEM: Sześć	77
DZIEWIĘĆ: Wizyta	84
DZIESIĘĆ: Pytania	95
JEDENAŚCIE: Lekcje	104
DWANAŚCIE: Obsługa hotelowa	111
TRZYNAŚCIE: Sejf	120
CZTERNAŚCIE: Problem	130
PIĘTNAŚCIE: Zeznania	141
SZESNAŚCIE: Artykuł	151
SIEDEMNAŚCIE: Bat	160
OSIEMNAŚCIE: Poniedziałek	167
DZIEWIĘTNAŚCIE: Dowód	175
DWADZIEŚCIA: Komisja	185
DWADZIEŚCIA JEDEN: Oficjalnie	197
DWADZIEŚCIA DWA: Miejsce zbrodni	202
DWADZIEŚCIA TRZY: Album	212
DWADZIEŚCIA CZTERY: Aresztowanie	221

DWADZIEŚCIA PIĘĆ: Łut szczęścia	230
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ: Nakaz	241
DWADZIEŚCIA SIEDEM: Gabinet	248
DWADZIEŚCIA OSIEM: Bieg	254
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ: Hobbs	258
TRZYDZIEŚCI: Rada	267
TRZYDZIEŚCI JEDEN: Nazwisko	278
TRZYDZIEŚCI DWA: Prawda	283
TRZYDZIEŚCI TRZY: Wina	288
TRZYDZIEŚCI CZTERY: Nagranie	297
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ: Pocałunek	304
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ: Na celowniku	310
TRZYDZIEŚCI SIEDEM: Świętowanie	323